

WYDAWNICTWA ROK XVIII

PIŁOMYK

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



GÓRALKA.

Mal. Juljusz Kossak.

WARSZAWA, ŚRODA 16 MAJA 1934 R.

N° 37

DZIAŁ ROZRYWEK

SKŁADANKA 1.

Z białej *buleczki* weź dwa kawałeczki,
a raczej poprzestań na chlebie;
z *tamańców* zabierz dwa dla siebie;
zostaw też dwa kąski z jakiej *potrawy*.
Złóż to wszystko razem ot! dla
zabawy:
otrzymasz godła hetmańskiej godności,
dawane mężom, słynnym
z waleczności.

SKŁADANKA 2.

Z *zawilca* urwij dwa płatki,
a będziesz miał dwie litery;
poduszka doda ci cztery,
reszty dostarczą *opłatki*.

Wszystkie — to rzewny w roku dzień,
twarze przyćmiewa smutku cień,
serce ściska tęsknota, żal,
za tymi, co odeszli w dal.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ.

Z Nr. 28. Zagadki 1: o-płatki; zagadki 2: kat, kit, kąt, kot; rebusa: Sobieski pod Wiedniem; zagadki 3: flis-lis; zagadki 4: nu-ta; zagadki 5: niebieskie migdały; szarady: san-dacz.

Z Nr. 30. Zagadki 1: cnota; zagadki 2: owoce; szarady: antena; figla: Wieprz.

Z Nr. 31. Zagadki 1: Morskie Oko; zagadki 2: tratwa-dratwa.

Z Nr. 32. Szarady 1: u-le-wa; szarady 2: ka-li-na; zagadki: lot; szarady 3: ra-róg.

Z Nr. 33. Szarady: Żwirko; składanki literowej: lampa — palma — lama.

Z Nr. 35. Szarady: Wielkanoc; zagadki 1: agawa; zagadki 2: obory; żartobliwych pytań: 1) lacińska, 2) na głowie.

CUKIERKI WŁASNEJ ROBOTY.

Wszystkie dzieci na świecie lubią cukierki. To też zwykle, gdy dziecko posiada kilka groszy, biegnie do sklepiku i kupuje sobie łakocie. Niestety, cukierki te rzadko kiedy są dobre i zawsze a zawsze drogie.

Istnieje wiele sposobów przyrządzania cukierków w domu, z których podaję dwa najprostsze.

1) CUKIERKI ŚMIETANKOWE — rodzaj irysów.

40 dkg cukru w kawałkach, 1 szklanka słodkiej śmietanki, 3 dkg świeżego masła (łyżka), $\frac{1}{2}$ laski wanilji albo $\frac{1}{2}$ proszku waniljowego. Zagotować cukier ze śmietanką, dodać wanilię i gotować na wolnym ogniu, stale mieszając ode dna. Gdy masa zacznie bulgotać i na powierzchni utworzą się pęcherzyki, umazać w niej drewnienko i włożyć je do zimnej wody — natychmiast wyjąć i ściągnąć masę z patyczka; jeśli z tego utworzy się w palcach miętka gałeczka, cukierki gotowe. Odstawiamy garnuszek z ognia i wylewamy jego zawartość na porcelanowy półmisek lub talerz, dobrze potoknięty zimną wodą. Gdy masa trochę ostygnie, kraje się ostrym nożem na kawałeczki, ładnie karbuje po wierzchu i obwija w srebrny papier od herbaty lub pergamin od masła. W ten sam sposób można robić karmelki z różnymi smakami, dodaje się wtedy zamiast wanilji kilka kropelek olejku migdałowego, różanego, esencji pomarańczowej, kawowej i t. p.

2) CUKIERKI MIĘTOWE KRUCHE — wyśmienicie smakują i bardzo orzeźwiają.

Dwie szklanki cukru zalać pół szklanką wody, gotować na wolnym ogniu 15 minut, licząc od zagotowania. Dodać łyżkę stołową mocnego octu, potem wlać 15 kropli olejku miętowego i natychmiast zdjąć z ognia. Mieć już przygotowane dwa talerze, wysmarowane świeżym masłem, wylać na nie, wyrównać powierzchnię i natychmiast krajać w zgrabne kawałki. Przechowywać w blaszanym pudełku, by nie wietrzały i nie wilgły.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

PŁOMYK

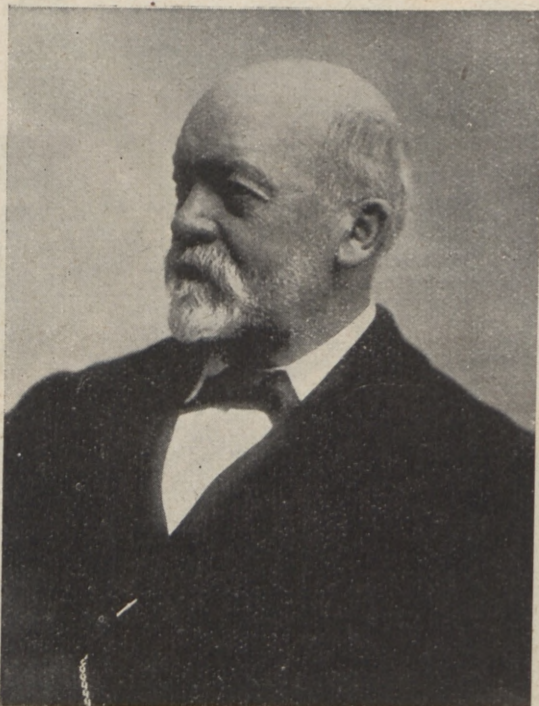
TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.



WIOSNA W GÓRACH.



TROCHĘ O TOMCIU-PALUSZKU I TROCHĘ O SAMOCHODACH.



GOTTLIEB DAIMLER.

Miałem dziś w nocy dziwny sen. Śniło mi się, że przyszedł do mnie jakiś mały chłopczyzna, niosąc w ręku parę olbrzymich butów. Przypatrywałem mu się, natężając umysł, bo mi się wydało, że zarówno chłopiec, jak i te wielkie buty, są mi dziwnie znajomi.

Ale ani rusz nie mogłem sobie nic przypomnieć.

— Niech pan się nie męczy—rzekł chłopiec,—jestem pańskim znajomym z lat dzieciennych, nic więc dziwnego, że teraz pan o mnie zapomniał. Jestem Tomcio-Paluch.

— Tomcio - Paluch — naturalnie, odrazu sobie przypomniałem. — To ty spacerowałeś po świecie w siedmiomilowych butach?

— Tak, to ja — odparł zgryźliwie Tomcio-Paluch. — Ale już mam dosyć i tego spaceru i tych butów. Przynoszę je właśnie panu w podarunku. Jak pan chce, może je pan nawet oddać do muzeum. Mnie one są już niepotrzebne.

— Dlaczego? — zapytałem zdziwiony.

— Dlaczego? — zaczął mnie przedrzeźniać Tomcio. — Niby to pan nie czytuje wiadomości sportowych. Czy pan nie wie, że Sir Malcolm Campbell zdobył na swoim samochodzie rekord szybkości świata, osiągając 438 km na godzinę?

— Bardzo pięknie! Ale, co ma wspólnego rekord Anglika z twoimi butami?

— Bardzo wiele. Dzisiaj przy największych wysiłkach, nie potrafiłbym go już w swoich butach dogonić. On sobie siedzi wygodnie

przy kierownicy, a ja muszę za nim biec. Biegał pan kiedy w siedmiomilowych butach?

— Skądże znowu!

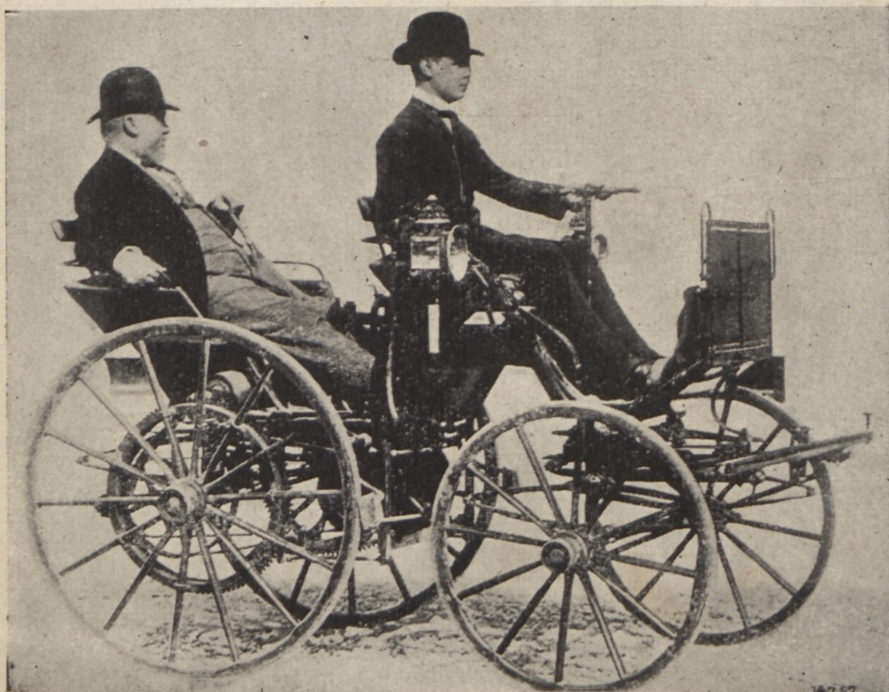
— Więc pan nie ma pojęcia, jak to ciężko i niebezpiecznie. Buty nie pilnują się drogi, skaczą, gdzie popadło, las to las, błoto to błoto, a potem trzeba się godzinami wygrzebywać na miejsce nowego startu. Stanowczo wołę samochód.

Obudziłem się i zrozumiałem, przynajmniej w części, przyczynę owego dziwnego snu.

Miałem przecież napisać dla „Płomyka” o samochodzie z racji stulecia urodzin jego wynalazcy, niemieckiego inżyniera Gottlieba Daimlera (17 marca 1834).

Daimler bowiem był pierwszym człowiekiem, który umiał zaprząć nową siłę, powstającą ze spalania się benzyny, do popychania wozu.

W 1885 r. wymyślił ten wielki wynalazca wóz, który wyglądał dziwacznie i śmiesznie, a zarazem budził zabobonny lęk u ciemnych ludzi, który się poruszał z „zabójczą szybkością” 10 km na godzinę, ale który to wóz miał w niecałe pół wieku zawojować cały świat, zapętnić wszystkie drogi i ulice miast.



DAIMLER (Z LEWEJ STRONY) W SAMOCHODZIE SWEGO WYNALAZKU.



MALCOLM CAMPBELL UŻYWA PRZEJAZDZKI NA PLAŻY AMERYKAŃSKIEJ,
NA STARYM SAMOCHODZIE Z 1901 R.

Żaden wynalazek tak się szybko nie rozpowszechnił i tylu nie wywołał zmian, co samochód.

Pamiętam, przed wojną kupił sobie jeden obywatel ziemski pierwszy na całą naszą okolicę samochód. Gdy tak przejeżdżał ubrany w kożuch, wywrócony włosiem do góry, ludzie uciekali z drogi i chowali się w żyto, krzycząc: — Antychryst jedzie!

Jedna babcina złapała dzieciaka na ręce i uciekała z nim, co tchu. A dzisiaj ten jej syn ma własną taksówkę i sam udaje „Antychrysta”, a kiedy przyjeżdża do matki na wieś w odwiedziny, ta się już nie boi, tylko dumna z syna, siada na tylnym siedzeniu i paraduje w niedzielę do kościoła.

Zresztą, co tu mówić!

Dzisiaj samochodem jeździ i afrykański Murzyn i czerwonoskóry Indianin i Mongoł w swoich stepach.

Dokończenie nastąpi.



TAK SIĘ JECHAŁO W 1900 ROKU.



Z drzeworytu W. Skoczylasa.

KAZIMIERZ NAD WISŁĄ.

WŁADYSŁAW SKOCZYLAS.

W dniu 8 kwietnia zmarł Władysław Skoczylas, profesor w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, wielki artysta, którego prace drzeworytnicze są wysoko cenione w Polsce i zagranicą. Liczne jego drzeworyty zostały zakupione przez rządy różnych państw, zdołał dziś muzea i biblioteki świata całego. Był on twórcą przeszło 300 pięknych kompozycji drzeworytniczych, a jako profesor wykształcił w tym dziale sztuki liczne młode pokolenie artystów.

W młodych Waszych sercach, które wszystko żywo odczuwają, nie chcę gasić wesela ponurym obrazem śmierci. Zgasło wprawdzie życie wielkiego artysty, lecz dla nas wszystkich żyje on wciąż, gdyż została jego myśl, zostało piękno jego dzieł, żyje on jako talent, żyje nadal w swych pracach, żyje w uczniach swych, których nauczył kochać sztukę drzeworytniczą.

A może niejednen z Was zapyta: — Dobrze, ale co takiego drzeworyt? Jak on się robi?

Więc zapoznajmy się z tem nieco, a może będzie to najlepszym uczczeniem przez nas pamięci zmarłego, gdy tak zbliżymy się do jego sztuki.

Otóż artysta drzeworytnik najpierw rysuje albo kalkuje swój rysunek na gruntowanej deseczce z drzewa. Potem wyrzyna w tej deseczce:

specjalnem narzędziem, dłutem lub rylcem, miejsca niezarysowane, wskutek czego miejsca zarysowane pozostają wypukłe. Następnie wystającą, niewyżłobioną powierzchnię deski pokrywa farbą drukarską, przykładając papier i, naciskając pod prasą, odbija rysunek na papier. W ten sposób może otrzymać kilkadziesiąt nawet egzemplarzy odbitek. Drzeworytnictwo to jedna z najdawniejszych sztuk i, zanim Guttenberg wynalazł czcionki ruchome (w latach 1440—1450), odbijano w podobny sposób całe książki, rytując na desce strony tekstu i odbijając je na papier.

Drzeworyty Skoczylasa są jedno i wielobarwne. Ulubiony jego temat to życie górali. Przebywał dużo w Zakopanem, że zaś sam pochodził ze wsi (ur. w Wieliczce w 1883 r.), z rodziny chłopskiej, więc umiał wczuć się w życie ludzi, gór i ludzi wsiowych. Za „Głowę górala” otrzymał pierwszą nagrodę, jego „Tekę Zbójnicką” nie ma sobie równej. Poruszył tu czasy legendarne, zasłyszane z opowiadań starych górali; więc mamy słynnego zbójnika Janosika, przepiękny „Taniec zbójników”, „Pochód zbójników”, „Zbójnicy ze skarbem” i wiele innych równie ciekawych, bajecznych.

Ze sztuką Skoczylasa postarajcie się bliżej zapoznać; nauczy Was ona kochać piękno, jest wielką, prosta i bardzo ciekawa, a może i niejedno z Was spróbuje rylca kiedyś, kiedyś...

Wacława Kiślańska.



Z drzeworytu W. Skoczylasa.
GÓRAL, GRAJĄCY NA KOBZIE.

O POLOWANIU NA FOKI I PRZYGODACH MAŁEGO ESKIMOSA.

6)

Napisała Marja Niemierowska.

Dokończeme.

— Oj, Kotiku, to może i nas te stare foki pogryzą? Gdzie my się podziejemy? Tak tu ciasno!

— Nie bój się, my, młode foki mamy tu też własne miejsce. Jest ono wprawdzie najdalej od brzegu, ale zato możemy się w trawie tarzać. Stare foki zostawiły dla nas przejście, jak korytarz, i możemy sobie niem wędrować.

Wesoło było Malcowi i Kotikowi na wyspie. Bawili się z kolegami, hałasowali, a gdy byli głodni, wypływali na morze na ryby polować.

— Czemu ojcowie nie polują z nami? — dopytywał się Malec.

— Oh, oni całe lato poszczą, cztery miesiące nic a nic nie jedzą, tylko na brzegu leżą i swoich miejsc pilnują.

Każdej mamie-foce, zaraz po przybyciu na wyspę, urodziło się jedno śliczne małe foczątko — czarne, jak smoła. Z początku leżało niemrawe przy mamie i ojcu. Lecz po paru dniach mama-foka zaprowadziła maleństwo na plażę piaszczystą i tu wszystkie malutkie foczątka bawiły się razem lub spały na ciepłym piasku. Mama-foka codzień odpływała na morze polować na ryby. Wracała stęskniona do swojej czarnej okruszynki i prosto z morza, jeszcze ociekająca wodą, biegła na plażę foczątek. „Beee, beee” — wołała czule swoje maleństwo i, gdy je znalazła w tej wielkiej gromadzie aksamitnych kłębuszków, karmiła je, jak krówka karmi cielątko. Gdy małe foczki miały już miesiąc, zaczęły się uczyć pływać. Tuż przy brzegu próbowały swoich sił i wiele miały z początku kłopotu, bo łebki ciężkie wdół im leciały i zamiast pływać, wywraçały śmieszne koziołki. Codzień jednak były mądrzejsze i zgrabniejsze.

Minęło krótkie północne lato. Jesień nadeszła i mróz ścinał już przy brzegu wodę i śnieg zaczął padać. Wszystkie foki wybierały się w podróż na morze.

— No, jakże, — pytał Kotik — i my też chyba popłyniemy?

Ale Malec się zamyślił. Przypomniał mu się jego dom ze śniegu, mama i ojciec... Chciałby znów stać się chłopcem i do nich wrócić.

Aż któregoś dnia, gdy Kotik się niecierpliwił i naglił Malca, że czas już odpłynąć, bo wszystkie foki odpłynęły, zląkł się bardzo, bo nagle koło niego, zamiast foki-Malca, stanął chłopiec eskimoski.

Kotik nie poznał w chłopcu foki-przyjaciela. Czempredzej plusnął w wodę i odpłynął.

A chłopiec? Czy wrócił do swego domu?

Nie potrzebował wracać, bo mu się to wszystko tylko przyśniło... i królewna Zima, i Kotik, i przygody na morzu.

Obudził się, otworzył oczy i zobaczył, że jest w swoim domu, że to był tylko sen. Ale wszystko w tym śnie było, jak naprawdę.



... może i nas te stare foki pogryzą?..



Wiersze do wypowiedzenia 31-go maja, w dniu „Święta Matki”.

M A T K A.

— A wiesz ty, dziecie, co to znaczy „Matka”?

— Cóż za pytanie?! Oczywiście! przecie!
To ta mamuśka, przy której, jak splotka
płynie nam życie w naszym małym świecie.

To towarzyszka ta codzienna nasza,
która nas pieści, ochrania i chwali,
nieraz od kary u ojca wyprasza
i czuwa stale — zbliska czy zoddali.

To ta, „najswojsza”, która tak rozumie
radości nasze i troski i grzechy,
to ta, co radę zawsze znaleźć umie,
słótko zachęty i balsam pociechy...

— Tak, Matka twoja jest ten wszystkim, dziecie,
i jeszcze nad to czemś stokrotnie więcej,
bo zapamiętaj, że nikt już na świecie
nigdy cię kochać nie będzie gorzej...

Nikt już na świecie tak ci nie przebaczy
win twych na zawsze... z serca... do ostatka...
choćbyś jej serce pogrążył w rozpacz,
jak to gotowa zawsze czynić Matka...

Bo słowo „Matka” — to czarowne słowo
jakieś zaklęcie w sobie cudne mieści:
choćbyś je ciągle powtarzał na nowo,
znajdziesz w niem zawsze coraz więcej treści.

Matka — to noce długie, nieprzespane
nad twą kołyską, gdzieś był tak bezpieczny,
to łzy z Jej oczu tajemnie wylane,
gdy byleś krnąbrny, leniwy, niegrzeczny...

Matka — to błogość rodzinnego domu,
to jasność lampy, co nad stołem świeci,
to kącik własny wśród świata ogromu,
to szept modlitwy, co do Boga leci!

Serce oddane i do śmierci wierne,
co nad przepaścią ci legnie, jak kładka,
skarby dzieciństwa twójego bezcenne —
to wszystko, dziecie, znaczy słowo „Matka”!...

ZOFJA LAUBERT-KUŁAKOWSKA.

DLA MAMUSI.

Na święto swej Mamy
posprzątam w mieszkaniu.
Dam jej znać w ten sposób
o swoim kochaniu.

Umyję podłogę,
okna, i kwiateczki
popryskam, odświeżę
na Święto Mateczki.

Ułożę wszyściutko
ładnie na półeczkach,
żeby się cieszyła
w swe święto Mateczka.

Chcę w dniu Twego Święta,
Matuchno najdroższa,
żebyś uśmiechnięta
była i radosna!

A. ŁABEŃSKA.

MAMUSIU, DAJ RĘCE!

Mamusiu, daj ręce,
niech je ucałuję.
Dziś Twe imieniny.
Serdecznie winszuję:
— Bądź, Matuchno, zdrowa,
szczęśliwa wesola.

Niech tróska Ci żadna
nie zasępie czoła.
— Niech wszystko Ci wokół
radośnie się plecie.
— Kocham, Ciebie, Matuś,
najdroższa na świecie!

JANINA KAMIŃSKA.

TAKI DZIEŃ WESOŁY!

Taki dzień wesoly,
taki dzień radosny!
Słońce się dziś śmieje,
pachną kwiaty wiosny.
Kwiecia Ci przyniosłam.
Patrz — pełne mam ręce!

Weź kwiaty, matuchno,
weź serce dziecięce!
Styszysz? Serce bije,
równo, równiuteńko.
Kocham Ciebie, Matuś!
Kocham Cię, Mateńko!

JANINA KAMIŃSKA.

MOŻE WCZORAJ?

Miał rączyny różowe, maleńkie
i błękitne jak niebo oczęta
i uśmiechał się, gaworząc w wózku...
Tak syneczka mojego pamiętam.
Potem loczki miał ciemnobronzowe
i niezgrabnie stawiał pierwsze kroki,
potem lubił się chować w ramionach
tatusiowych — mocnych i szerokich.
Potem mówił językiem przedziwnym,
jakim mówią małe, ludzkie kruszyny.
Rozumiało go jednak cudownie
rozkochane w nim serce matczyne.
Jeszcze potem, wysunąwszy na bródkę
mokry, lepki języczek różowy,
zapisywał śmiesznie kreskami
pierwszy szkolny zeszytek brązowy.
Potem jeszcze trwogi wszystkich
klasówek,

żale, których nikt inny nie słuchał,
przed wieczorem, gdy byliśmy sami,
wyszeptywał mi eicho do ucha.
Jeszcze potem... Lata biegły, jak
strzała,
wypuszczona z łuku mocnej ciężkiwy...
Teraz syn mój, spostrzegłam to
wczoraj,
ma na skroni parę włosów siwych.
Teraz on ma wielkie, silne ramiona
i tak często mówi: — Jakaż maleńka,
jakaż bardzo potrzebuje opieki
moja droga, kochana mateńka! —

A mnie zdaje się, że może wczoraj,
może nawet jeszcze dzisiaj rano,
różowego, zasnętego synka
brałam z wózka na moje kolana.

M. A. KASPRZYCKA.

ŚWIĘTO MARZANNY W MŁODOWIE.

Szkola w Młodowie stoi nad samą wodą. Płyń tam piękna rzeka Poprad. Dzieci w tej szkole bardzo lubią „Płomyk”. Czytują go często i uczą się pięknych wierszy i piosenek. Raz dzieci wyczytały w „Płomyku” o pięknym święcie Marzanny.

— Proszę pani — odzywa się mały Staś Tokarczyk, — my mieszkamy nad wodą, tobyśmy mogli takie święto urządzać.

— A dobrze — odpowie pani. — Postarajcie się o słomianą kukłę, nauczcie się wierszyków, ja was nauczę piosenek i utopimy zimę w Popradzie. No, które z dzieci zrobi kukłę?

Okazało się, że wszystkie dzieci chcą robić słomianą kukłę.

Pani wybrała Jasia Kuliga i on zrobił bardzo ładnie słomianą babę. Reszta dzieci zrobiła gaik i nauczyła się pięknych wierszyków i pieśni.

W pogodny jasny dzień dzieci zabrały kukłę, gaiczek i ruszyły nad Poprad.

— Proszę pani! A jak daleko ten Poprad płynie?

— Poprad płynie najpierw do Starego Sącza i tam wpada do Dunajca. Potem razem z Dunajcem płyną długo, długo i pod Melsztynem wpadają do Wisły. Zaś Wisłą płyną bardzo długo i pod Gdańskiem wpadają do morza, polskiego morza.

— Proszę pani, to my pošemy morzu górskie kwiaty!

— Dobrze. Morze ma wiele pięknych muszli, koralu, bursztynów, ale nie ma kwiatów. Pošlijcie morzu kwiaty!

Dzieci zbierały różnych kwiatków, jakie rosły w górach, a rośnie ich tam bardzo wiele: wonne fiołki, pierwiosnki, śniegulki, zawilce, kaczeńce, miódunka i dużo innych. Dzieci ubrały Marzannę temi kwiatkami i powiedziały jej: — Popłyniesz z temi kwiatami do morza, długo i powiesz mu, że to od góralskich dzieci. Powiesz także morzu, że my, dzieci z Młodowa, „pięknie morzu się kłaniamy i pozdrawiamy je przez zielone bramy, bo polskiego morza Niemcom nie oddamy!”

Jaś Paduła zaraz napisał kartkę z pozdrowieniem i przypiął Marzannie do ręki.

— Cóż ty tam, Jasiu, robisz? — pyta pani.

— Piszę do naszego morza pozdrowienie, bo jak urosnę, to popłynę z flisakami do morza, a morze będzie już wiedziało, kto ja jestem.

Jak już wszystko było gotowe, dzieci przy śpiewie o królowej wiosnie podniosły słomianą kukłę i wrzuciły do wody.

— Siuda baba!

Baba kilka razy machnęła ręką na pożegnanie i popłynęła do morza. Zabrała z sobą resztę zimy, bo zaraz zaświeciło slične słońce i ptaszki zaśpiewały w nadbrzeżnej wiklinie. Przy akompaniamencie tych głosów ptaszęcych, dziewczynki deklamowały slične wierszyki. Potem z pieśnią „Zaszumiały wody, popłynęły lody” dzieci szły przez wieś, niosąc gaiczek, a kogo napotkały, składały mu życzenia. W tym właśnie dniu dzieci pozaskolne sadziły w szkolnym ogrodzie drzewka, więc te małe przyszyły z gaiczkiem i życzyły: „Do was wszystkich wstępujemy, zdrowia, szczęścia wieszujemy, zdrowia, szczęścia i wszystkiego od Zbawiciela samego”. Tak samo życzyły dzieci mamie pani nauczycielki, a na końcu samej kochanej pani nauczycielce. Wreszcie rozbawione i szczęśliwe wróciły do klasy.

Mała Marysia Jambrozowiczówna wyszła na środek klasy i dygnęła pani.

— Cóż ty, Marysiu, powiesz?

— Proszę pani, ja bardzo dziękuję pani, co nam pani taką piękną zabawę urządziła.

Pani uśmiechnęła się i rzekła: Dobrze, moje dzieci, ale ja tylko Wam pomogłam. Całą zabawę przysłał Wam „Płomyk”, trzeba więc jemu podziękować.

— Dobrze! dobrze!

Dzieci zaraz zasiadły i napisały góralskie pozdrowienia do „Płomyka”.

„Kochany „Płomyku”!

Pozdrawiamy Ciebie, pięknie się kłaniamy, nikt Cię tak nie kocha, jak my Cię kochamy. Pozdrawiamy Ciebie przez pola najszersze, pięknie dziękujemy za



KOŚCIÓŁ NA PODHALU.

Twe miłe wiersze. Pozdrawiamy Ciebie przez lody, co tają, wszystkie Twe powiatki nam się podobają. Tam, gdzie słońce świeci, my Cię pozdrawiamy, gdyż z wielką radością zawsze Cię czytamy. Pozdrawiamy Ciebie od samego rana, nasza pani dobra i bardzo kochana. Pozdrawiamy Ciebie na zielonym moście, do naszej wioseczki przyjeżdżają goście. Pozdrawiamy Ciebie poprzez sto mil blisko, bo nasza wioseczka to małe letnisko. Pozdrawiamy Ciebie przez stołek kulawy, trudno nam do Ciebie jechać do Warszawy. Więc Cię pozdrawiamy w tym białym liściku, przyjeżdż do nas kiedy, kochany „Płomyku”! Jeszcze Ci życzymy przez Poprad wspaniały, by Cię wszystkie dzieci tak, jak my kochały. Pozdrawiamy Ciebie przez wiosenne kwiaty, żebyś był wesół, szczęśliwy, bogaty!

Teraz Cię żegnamy, pochwalamy Boga, bo przed naszym listem jest daleka droga. Już się i słoneczko za górcezką chowa, pozdrawiamy Ciebie! My,
Dzieci z Młodowa”.

List zaniosły wszystkie dzieci na pocztę do Piwnicznej, jak szły do kościoła. Władek Kulig był najwyższy, więc wrzucił list do skrzynki i wesół zawołał:
— Do Warszawy!

Stefanja Siatkowska.



PAMIĘTNIK CHINKI

37)

Spisana Ebrem.

Sierota, samotna, znalazłam oto wreszcie na mojej drodze uczciwą i zupełnie oddaną mi duszę. Prawda, lubiono mnie u państwa Pomiańskich i ja ich kochałam, ale nie byli przecież moją rodziną. Mogli się rozstać ze mną, tak jak Kienlungowie. Co innego mąż.

Pomogę mu pielęgnować na starość rodziców, których tak kocha i samego troskliwością i miłością otoczę. Myślałam, prawda, kiedyś o wstąpieniu do zakonu, ale widać Bóg przeznaczył mi co innego, kiedy postawił na mojej drodze tę duszę, którą mogę do niego zaprowadzić!

Zastanawiałam się, czy powiedzieć o tem pani Helenie i Bożence. Ale chyba lepiej nie. Bożenka będzie się martwiła zgóry, a to przecież rzecz jeszcze dosyć oddalona. Juan musi wpierw otrzymać od rodziców pozwolenie na przyjęcie chrztu i zaślubienie żony chrześcijanki. Dotychczas, mając myśl zaprzątniętą niepewnością swojego położenia, nie rozmawiał z nimi prawie o nowej swojej wierze. Może przeczuwał, że to nie pójdzie łatwo i obawiał się zaczynać? Musi się także jeszcze ustalić na nowej posiadzie.

Nazajutrz niespokojnemu Juanowi udzieliłam odpowiedzi, która napełniła go radością. Rozpoczęły się szczęśliwe chwile narzeczeństwa. Co kilka dni, po skończonej pracy, Juan przychodził sprawdzić stan naszego ogrodu, którym się opiekował w dalszym ciągu, i rozmawiał ze mną.

Opowiadaliśmy sobie o zdarzeniach ostatnich dni; układaliśmy rozmaite zamiary na przyszłość, i ja, w dalszym ciągu, rozwijałam mu naukę chrześcijańską.

BOLESNE ZERWANIE.

Przez jakiś czas było nam błogo i radośnie. Jednakże po paru miesiącach zauważyłam, że Juan staje się smutny i coraz mniej skłonny do wesołej rozmowy o szczęśliwej przyszłości. Zaniepokojona zapytałam o przyczynę.

— Ciężko idzie z rodzicami, Ahlute! — odpowiedział, wzdychając.

Przeraziłam się. Ja tak już sercem całym utkwiałam w nadziejach czekającego nas szczęścia!

— Ale ty mnie przecież nie opuścisz? — rzekłam. — Nie ożenisz się z inną, choćby rodzice namawiali cię do tego?

— Nie! — odpowiedział. — Tego jednego rodzice nie zdołają wy-móc na mnie. Nie będę miał innej żony, jak tylko ciebie, Lutko.

— Czy jednak ja będę jego żoną? — zapytywałam siebie ze smutkiem. Nasz widnokrąg chmurzył się widocznie. Juan zjawiał się teraz rzadziej, a gdy mu to wymawiałam, rzekł:

— Nie mam nic dobrego do doniesienia, więc pocóż mam ci przynosić smartwienie?

Niepokój mój wzrastał. Teraz dopiero, wobec możliwości utracenia Juana, zdawałam sobie sprawę, jak bardzo go pokochałam!

Nareszcie pewnego dnia, po dłuższej nieobecności, przyszedł zgnębiony.

— Przybyłem pożegnać cię, Ahlute — rzekł. — Nie mogę przełamać uporcu moich rodziców, ojca zwłaszcza. Zapowiedział mi stanowczo, że, jeśli przyjmę chrzest i chrześcijańską synową wprowadzę w dom jego, to oboje z matką odbiorą sobie życie. Wiesz, jak częste są w Chinach samobójstwa. Wiem, że i u ojca nie byłoby to czczem słowem. Nie mogę brać życia jego na moje sumienie i dlatego musimy się rozstać.

— O Juanie! Jakie to okropne! Ale może czasem odmieni swój zamiar?

Juan potrząsnął głową.

— Nie, on go nie odmieni, Ahlute. Zawsze był uparty i zawzięty. Muszę się cię wyrzec!

— A Chrystusa się wyrzeczysz? A powrócisz do czci bałwanów?

— Nie, jużbym nie mógł. Będę się starał nawet o przyjęcie chrztu i może zdołam ukryć to przed rodzicami.

— I jabym to czynić mogła.

— Nie, dwojgu ukryć się trudniej. Zresztą rodzice wiedzą, że jesteś chrześcijanką.

— A może ty niedobrze postąpisz, Juanie? Pan Jezus powiedział przecież: „Kto się mnie zaprze przed ludźmi, tego ja się zaprę przed Ojcem moim niebieskim”.

— Ach, pamiętam ja te słowa, Ahlute! I Bóg widzi, że nie zaparłbym się Go, nie ukrywałbym mojej wiary, gdyby nie chodziło o uchronienie rodziców od czynu, który w oczach Boga jest również ciężkim grzechem.

Opuściłam głowę. Cóż miałam na to wszystko odpowiedzieć? Przykazanie boże, zarówno jak i obyczaj chiński, nakazuje czcić rodziców. Ale jakże boleśnie mi było rozstać się z nadziejami, które tak radosnym blaskiem rozświecały przez czas jakiś moje, tak już pełne ciężkich przeżyć, życie!

— Więc nie zobaczymy się już, Juanie? I ty zapomnisz o mnie?

— Ja nigdy nie zapomnę, Ahlute, i nigdy innej żony mieć nie będę, porzysiągłem to sobie. Myślę jednak, że lepiej, żebyśmy się nie widy-

wali. Będzie to tylko rozżalaniem się napróżno. Ja pozostanę ci wierny, ale życia wiązać ci też nie chcę. Jeśli pozostaniesz u twoich cudzoziemców, to coraz bardziej zrośniesz się z nimi. Przez nauki, których ci udzielają, osobliwie przez nauki z ich krajem związane, wprowadzą cię oni coraz głębiej w świat nowy, w świat zupełnie od chińskiego odmienny. Po kilku latach może dziwnem nawet wyda ci się wspomnienie, że kochałaś prostego Chińczyka i że gotowaś była wyjść za niego.

— Nie, to mi się nigdy dziwnem nie wyda. Narodowość i zwyczaje ludzi bywają rozmaite, ale serca wszystkie są podobne, zwłaszcza u wyznawców jednej wiary. Może ty i słusznie postępujesz, Juanie, ale jak smutno będzie nie widywać się już z tobą!

— Będzie mi to niewypowiedzianie bolesne, ale gorzej byłoby jeszcze, gdybyśmy się widywali, nie mogąc się połączyć. Byłoby to przecież ciągiem rozkrwawianiem rany, która bez tego czasem się zablizni... Trzeba więc zdobyć się na krok stanowczy. Myślę chwilami, że dobrze byłoby, żebyśmy przeniósł się do innego miasta i nie miał ciąglej pokusy.

— Opuściłbyś takie dobre miejsce, którego tak pragnąłeś?!

— Pragnąłem nietylko ze względu na rodziców, ale dlatego, że miał nadzieję podzielić dom mój z tobą. Tracąc cię, mniej będę cierpiał z odległości.

— Nie potrzeba tego, Juanie. Mój pan mówił niedawno, że wkrótce przeniesie się z nami do Nankinu. Jego interesy wymagają zmiany miejsca od czasu do czasu. Myślałam, że przedtem pobierzemy się i ja tu zostanę, ale skoro się okoliczności zmieniły, to ja wyjadę, a ty zostań. Jedno mi tylko przyrzecz: że nieodwołałnie i niedługo przyjmiesz chrzest święty!

— Przyrzekam ci to święcie, Lucyno. Ty wiesz, że dzięki tobie oddawna już w duszy jestem chrześcijaninem.

Jeszcze chwila rozmowy i pożegnaliśmy się. Jutrzenka promiennej przyszłości zgasła! Smutek, nakształt nocnej pomroki zaległ mi duszę, ale i w nocy rozsiewa Bóg gwiazdy i zapala księżyc na pociechę po odejściu słońca, aby nigdy człowiek nie tonął w zupełnych ciemnościach.

Dalszy ciąg nastąpi.



LEN — RĘCZNIK LNIANY.

Wkrótce już będą wakacje, ale jeszcze w mieście jest szaro i pada deszcz. I Felek uważa, że to wcale nie jest przyjemnie wstać o ósmej i od razu biec do miednicy z zimną wodą. Szyby szare od deszczu wyglądają wtedy, jak brudny lód, białe ściany, jak zimny śnieg, a kiedy Felek zaczyna się myć — ma wrażenie, że wpadł do przerębla.

Jedynym przyjacielem jest wtedy ręcznik. Mięciutki — od razu się człowiekowi ciepłej robi. Felek wyciera się mocno, mocno, zamyka oczy i myśli o wakacjach i kąpeli w rzece. Wtedy nie boi się wody nawet o ósmej rano, chociaż trzeba się nieraz wytrzeć trawą zamiast ręcznika.

Felkowi zdaje się, że robi mu się ciepło od letniego słońca i czuje zapach łąki nad rzeką. Ale pewno, kiedy będzie już na wsi, przechodząc koło pola niebieskich kwiatków, nie pomyśli, że to ich długie, giętkie łodyżki zamieniła ludzka praca na miękkie, białe nici, z których zrobiony jest jego przyjaciel — ręcznik.

A wiecie, co to za kwiatki?

Halina Krüger.





BURAK CUKROWY — CUKIER.

Jest już koniec roku szkolnego. Wikta musi się uczyć dużo więcej, niż w ciągu roku. Opuściła dwa tygodnie, kiedy była chora, a teraz musi to wszystko odrobić. Jest bardzo zmęczona, oczy się jej kleją i pić się ciągle chce. Mama przynosi jej szklankę herbaty. Gorąca herbata, ach, jaka przyjemna! Wikta wypija duży łyk i krzywi się: — Oj, jaka gorzka... Cukru, prędko cukru... O, teraz to przyjemnie!

Wikta pije powoli i jest coraz bardziej wypoczęta. Zaraz będzie się mogła uczyć dalej. Uśmiecha się do małej kostki cukru, która leży przed nią na stole. Widziała kiedyś napis: „Cukier krzepi”. Widać to prawda.

Wikta wie, z czego się robi cukier, bo na lato wyjeżdża do wuja, który mieszka przy cukrowni. Pamięta nawet, jak zeszłego lata rzuciła nieostrożnie piłkę na pole buraków cukrowych i podeptała je, żeby ją znaleźć. A może właśnie z tych podeptanych buraków byłaby taka kostka cukru? Trzeba będzie w tym roku uważać!

Halina Krüger.

LEL I POLEL.

15)

Napisał J. Warta-Przewłocki.

Rozdział VI.

O WIELKIEJ BITWIE, W KTÓREJ LEL I POLEL ZYSKALI SŁAWĘ
NIEŚMIERTELNĄ.

Minęło już sporo czasu od owego dnia, w którym Lel i Polel przybyli na ostrów Lednicki i przystali do gromady witeziów, co z wielkim kneziem polańskim na boje chadzali.

W kilku potrzebach rycerskich, na które Lech zabrał ich, sprawiali się godnie, jak na synów starego Mścisza przystało. Miłowali ich wszyscy witezie, którzy widzieli Lela i Polela w boju, bowiem obadwaj bracia walczyli nieustępliwie, stojąc zawsze obok siebie i żadna siła nie mogła ich rozłączyć.

W największej gęstwie bitewnej, gdy najbardziej chobrzy witezie tracili głowy i oglądali się za pomocą lub cofali się przemyślnie, Lel i Polel stali niewzruszeni, jako dwa dęby mocne wrośnięte korzeniami w ziemię, nie znając lęku. Sławni już byli wśród rycerstwa z niepospolitej mocy swojej, gdyż najtęższe konie obalali na ziemię, uchwyciwszy je za uszy, spore kamienie tłukli na piarg drobny jednym uderzeniem potężnej pięści, a mniejsze dębczaki wrywali z ziemi wraz z korzeniami, jakoby kępy sitowania na mokradle.

W bitewnej zawierusze każdy rad był trzymać się wpobliżu tych osiłek, wiedząc, iż w razie potrzeby, skoczą mu na pomoc.

Walczyli zawsze pieszo, aby być obok siebie. Drużyna, na której czele stawali w przednim szyku, znała tych olbrzymów o płowych czuprynach, spadających na ramiona, ponieważ obadwaj bracia stawali do boju z gołemi głowami, bez hełmów, lub czap skórzanych.

Bandy rozbójniczych Sasów, z którymi się kilkakrotnie starli w mniejszych potyczkach, wiedziały, jak niebezpiecznie stanąć twarzą w twarz ze srogimi witeziami, co jedną tarczą się osłaniali i na dwóch jeden straszny miecz mieli. Znali oni ten miecz niechybny i chodziły pośród nich gadki, iż jest zaczarowany, a każde jego uderzenie śmierć przynosi nieuniknioną.

Aż dnia jednego przyszło do wielkiej bitwy nad rzeką Odrą, w której kneź polański, otoczony przez przeważające gromady knechtów saskich, musiał się cofać. Było to jednak cofanie się tura przed gromadą głodnych wilków. Już połowa wojowników słowiańskich zasłała ciałami pobojuwisko, a reszta myślała o ucieczce. I była taka chwila, że Lech znalazł się w niebezpieczeństwie życia. Obskoczyło go trzech zakutych w żelazo Sasów, lecz kneź nie myślał się cofać. Uderzył na pierwszego z napastników i zwałił go z konia.

Dalszy ciąg nastąpi.

NASZ SKLEPIK.

Obrazek sceniczny do odegrania 3/VI — w Dniu Spółdzielczości.

Napisała Anna Świrszczyńska.

Część I-sza.

Szkolna sala lub plac przed szkołą — dzieci bawią się. (Wchodzi ZOSIA, płacząc).

JANEK.

No, co tam znowu, panno płakso?

ZOSIA.

Daj mi spokój — dostałam dwóję z rachunków. I to przez tego sklepi-karza: dał taki cyrkiel, co nie chciał rysować — buuu...

JANEK (*przedrzeźnia*).

Buuu...

ZOSIA.

Idź sobie!

WACEK.

W tym sklepiku to i mnie dali raz zeszyt poplamiony naftą.

JULA.

A mnie stałkę zardzewiałą.

STEFEK.

Porządnej gumy, albo ołówka ni-gdy tam nie widziałem.

KASIA.

No, to niema co, zakładamy wła-sny sklepik.

WSZYSCY.

Co?!!

ZOSIA (*chlipając*).

Albo my potrafimy?

KASIA.

Nie święci garnki lepią. W Bor-kowie w szkole mają sklep.

WSZYSCY.

Prawda!

JULA.

Ale jak to się robi?

WACEK.

Skąd pieniądze?

KASIA.

Wszyscy dają po 30 gr, kupimy towar w hurtowni, będziemy mieli to, co potrzeba — czyste, wyborowe i o wiele taniej. Zarobimy na sprzeda-ży tyle, że wszyscy niezamożni uc-zniowie dostaną towar darmo i jeszcze zostaną nam pieniądze — pomyślcie! Własne pieniądze, za które coś sobie razem kupimy!

WACEK.

Och, toby było dobrze! Ja już nabrałem ochoty.

JULA.

Prawdziwy sklepik! Będziemy sa-mi prowadzić, sami sprzedawać!

KASIA.

Potrzeba ułożyć statut, zwołać walne zebranie, wybrać przewodniczą-cego, sklepowego, skarbnika...

JANEK.

Przepraszam, a co będzie w tym sklepie?

JULA.

Zaszyty, ołówki, atrament.

JANEK.

I cukierki też!

ZOSIA.

Cukierki! Łakomczuch — cukier-ków mu się zachciewał!

JANEK.

Może nie mam racji? Cukierki każ-dy kupi — nawet taka niedorajda, jak ty!

ZOSIA.

On mówi, że ja... niedorajda. Buu... (*Płacze*).

WACEK.

Nie klóćcie się! Cicho!

KASIA.

Sluchajcie! Nasza spółdzielnia mu-si być oparta na rzetelnej, solidarnej pracy, koleżeństwie i wzajemnej po-mocy. — Każdy członek musi starać się ze wszystkich sił o jej rozwój. Nikt nie będzie kupował gdzie indziej tego, co jest w naszym sklepiku.

WSZYSCY.

Naturalnie! To jasne!

STEFEK.

Wszyscy do roboty! Zakładamy spółdzielnię „Zuchy” przy szkole po-wszechniej w Wawerkach.

WSZYSCY.

Zgoda! Tak się będzie nazywać!

(*Śpiew*):

Gdzie jest zuchów gromada,
będzie dzieło nielada!

Dokończenie nastąpi.

UCZ SIĘ JĘZYKA ESPERANTO!

LEKCJA XXVII.

RE—, GE—.

Zasmakowaliście w poprzedniej lekcji w sztuce tworzenia sobie nowych słów? — W takim razie dzisiaj znowu dwa nowe przedrostki: RE i GE. Uważajcie, do czego one służą.

RE służy do tego, aby wyrazić powtarzanie się albo powrót jakiejś czynności, a więc zrobienie czegoś drugi raz, albo powrócenie na to samo miejsce, oddanie i t. p. na przykład: DONI — dawać, REDONI — oddawać; VIZITI — odwiedzać, REVIZITI składać rewizytę czyli odwiedzać wzajemian za czyjeś odwiedziny u mnie; TURNI — obrócić, RETURNI — odwrócić na drugą stronę i t. p.

GE — służy do zupełnie czego innego, a mianowicie do wyrażenia, że mamy do czynienia z dwoma lub więcej osobnikami nie jednej, ale obojga płci, należących do tej samej grupy. Na przykład brat i siostra razem nazywają się po polsku rodzeństwem; po esperancku słowo „rodzeństwo” tworzy się w ten sposób, że bierzemy pierwiastek od słowa „brat”, a więc FRAT — do tego dodajemy przedrostek GE — otrzymujemy GEFRAT — a ponieważ jest to liczba mnoga (brat i siostra), przeto dodajemy jeszcze końcówkę liczby mnogiej rzeczowników OJ i otrzymujemy w całości: GEFRATOJ — rodzeństwo. Podobnie: pan i pani czyli państwo po esperancku: GE-SINJOR-OJ, razem Gesinjoroj, ponieważ „sinjoro” znaczy „pan”, a „sinjorino” — pani. Skoroście to zrozumieli, to już łatwo utworzycie sobie inne podobne słowa jak: GEEDZOJ — małżeństwo, GEONKLOJ — wujostwo, GEPATROJ — rodzice, GEAVOJ — dziadkostwo, ponieważ: EDZO — mąż, ONKLOJ — wuj, PATRO — ojciec a AVO — dziadek.

Prawda, że to łatwe i ciekawe? — Przetłumaczmy więc sobie:

ĆWICZENIE: 1) NIAJ GEFIANCOJ BALDAŮ GEEDZIĜOS. — Nasi narzeczeni wkrótce się pobiorą (dosłownie: będą małżeństwem). 2) SIA PATRO JAM RESANIGIS KAJ BALDAŮ REVENOS DE ZAKOPANE. — Jej ojciec już powrócił do zdrowia i wkrótce powróci z Zakopanego.

Zapamiętajcie dobrze, co znaczy RE i GE!

OFIARY.

NA LIGĘ MORSKĄ I KOLONJALNĄ.

I i II od. szk. powsz. w Grotach — 4.50, VI i VII od. szk. powsz. w Nowym Dworze koło Modlina pozostałe z balu 6.27.

NA OKRĘT DAR SZKOŁY.

Klasa V szk. Brzezcie koło Niepołomic — 2 zł.

NA FUNDUSZ SZKOLNICTWA POLSKIEGO ZAGRANICĄ.

I i II od. szk. powsz. w Grotach 2.50; Mieczyk i Marysia Treutlerowie 2 zł. Uczniowie kl. V-a w Lubczu nad Niemnem, chcąc uczcić dzień imienin Marszałka Piłsudskiego, 2 zł. Zamiast kwiatów na imieniny wydawcy „Płomyka” p. Włodarskiego — bezimiennie 2 zł.

NA L. O. P. P.

Kl. V szk. w Olszycu Szlacheckim 1.30; J. M. M. Kalużyńscy z Płocka — 1 zł; szk. żeńska im. Kr. Jadwigi w Grybowie — 7.28; Mieczyk i Marysia Treutlerowie — 2 zł.

Wkładkę do niniejszego numeru „Płomyka” stanowią „Listy od Redakcji”.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI.
Redaktorka—HELENA RADWANOWA. Kierownik artystyczny—MICHAŁ BYLINA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.

PROMIYK



ACH, JAK WESOŁO PRZY PRACY W OGRODZIE!